KLASYKA PRZYGODOWA

WYSPA SKARBÓW

Ojciec mój, stary Hawkins, prowadził gospodę „Pod kapitanem Benbow". Pewnego dnia zamieszkał w niej gość, który kazał nazywać się kapitanem. Był to podejrzany osobnik. Dał ojcu wprawdzie na początku kilka złotych monet na koszta pobytu, ale gdy te się wyczerpały ani myślał o uregulowaniu należności.

Kapitan dopytywał się zawsze o jakiegoś jednonogiego majtka, którego wyraźnie się obawiał. Stronił też od towarzystwa marynarzy. Pewnego dnia zjawił się u niego człowiek najwidoczniej znajomy. Wybuchła kłótnia, potem doszło do bójki. Mało brakowało, a kapitan zabiłby owego Czarnego Psa, jak go nazwał. Udało mu się jednak umknąć.

Kapitan tak przejął się tymi odwiedzinami, że upadł bez zmysłów na posadzkę. Na szczęście z wizytą do mojego chorego ojca przyszedł doktor Livesey. Zbadał kapitana i kazał mi przynieść miednicę, aby puścić mu krew. Istotnie odzyskał on przytomność, był wszakże wysoce zaniepokojony. Obawiał się, że jacyś dawni kamraci mogą mu odebrać jego starą skrzynię marynarską.

Tymczasem zmarł mój chory ojciec. Gdyśmy tak z matką byli przejęci bólem i zajęci pogrzebem, pojawił się inny wysłannik bandy. Po jego wyjściu kapitan zachwiał się i — rażony apopleksją — padł martwy jak kamień.

Przerażeni tą śmiercią i możliwością pojawienia się zbójców uciekliśmy z matką do wsi, by jednak wkrótce powrócić.

Gdy matka moja odliczała należne pieniądze, ja chwyciłem ceratową paczuszkę. *Opuściliśmy gospodę w ostatnim momencie — tuż przed tym jak* wdarli się do niej złoczyńcy. Spłoszyli ich jednak strażnicy celni, zaalarmowani pojawieniem się jakiegoś statku. Strażnicy zabrali mnie do domu dziedzica Trelavneya, gdzie znajdował się też doktor Livesey.

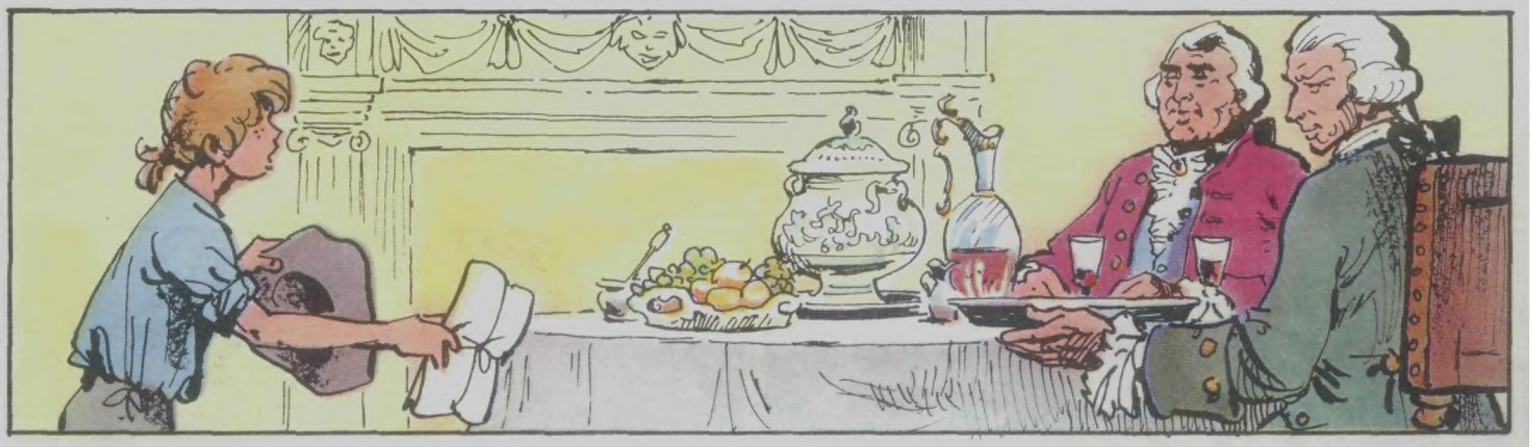

Z ich rozmowy wynikało, że zarówno kapitan jak i jego „goście" należeli do bandy legendarnego pirata Flinta i mieli z sobą porachunki z powodu *ukrytego przez Flinta skarbu.* Doktor otworzył paczuszkę, którą zabrałem ze skrzyni kapitana. Był w niej zeszyt z różnymi zapiskami i mapa, na której wypisano słowa: TU ZNAJDUJE SIĘ SKARB.

Sporo wody wszakże upłynęło zanim nadszedł list wzywający mnie do Bristolu, gdzie czekał pan Trelavney. Nabył już statek o nazwie „Hispaniola" i zwerbował załogę — głównie dzięki pomocy byłego marynarza, a obecnie właściciela gospody, jednonogiego Johna Silvera. Udałem się do Bristolu wraz z Redruthem, leśnikiem pana Trelavneya.

Powiedziawszy to dał mi list do Johna Silvera z karczmy „Pod Lunetą". John też miał z nami płynąć — jako kucharz okrętowy.

„Pod Lunetą" rozpoznałem bez trudu Długiego Johna Silvera i wręczyłem mu list dziedzica.

W tej samej chwili jeden z gości poderwał się i wybiegł na ulicę. Jego pośpiech zwrócił moją uwagę. Wynikło zamieszanie, a Czarny Pies uciekł. Gdy opowiedziałem Silverowi o okolicznościach mojego pierwszego spotkania z Czarnym Psem, był oburzony. Pirat w jego karczmie!?

Natychmiast poszliśmy do pana Trelavneya i doktora, aby opowiedzieć im o tym co zaszło.

Nawet kapitan przyznawał, że marynarze byli sprawni i zachowywali się przyzwoicie.

Dziedzic Trelavney traktował ich dobrze. Często wydawano podwójne porcje grogu, ustawiono też beczkę z jabłkami dla każdego, kto miał na nie ochotę. Gdyby nie ta beczka cała wyprawa potoczyłaby się inaczej...

Zbliżaliśmy się już do wyspy, gdy pewnego wieczora przyszła mi ochota na jabłka. Że zaś pozostało już ich niewiele, zaledwie kilka na dnie beczki, wlazłem do środka.

Ciemności, plusk wody, kołysanie sprawiły, że się zdrzemnąłem. Obudziły mnie głosy, wśród których poznałem głos Silvera...

Pojąłem: Silver i Hands byli piratami, a ja stałem się świadkiem przekupywania jednego z uczciwych marynarzy — może ostatniego?

Może w końcu moja obecność by się wydała, gdyby nie okrzyk z bocianiego gniazda. Ziemia! Wszyscy rzucili się ku dziobowi okrętu. Wykorzystałem ten moment i wykradłem się z beczki.

Powiedziałem po cichu doktorowi, że mam ważne i straszne nowiny. Proponuję, aby zaprosił do kabiny kapitana i dziedzica i mnie tam przywołał.

Wkrótce potem kapitan kazał wydać każdemu po porcji grogu, zaś sam z dziedzicem i doktorem zszedł do kabiny. Następnie i mnie tam zawezwano. Wówczas jak najzwięźlej i najwierniej powtórzyłem wszystkie szczegóły podsłuchanej rozmowy.

Wywarło to wielkie wrażenie na obecnych. Kapitan Smollet oznajmił, że musimy udawać nieświadomych, aby zyskać na czasie. Nie wiedzieliśmy kto już przyłączył się do buntowników. Mogliśmy liczyć tylko na trzech służących dziedzica, co z nami łącznie stanowiło siedem osób — przeciw dziewiętnastu.

Następnego dnia rano wyspa przedstawiała już odmienny widok. „Hispaniola" lawirowała po wezbranym oceanie.

Ponieważ nie było wiatru, łodzie z wioślarzami musiały holować statek przez kilka mil, by go wreszcie wprowadzić do zatoki. Marynarze głośno sarkali na trud, a ich zachowanie na pokładzie stawało się wprost groźne. Każde polecenie spełniano z ociąganiem...

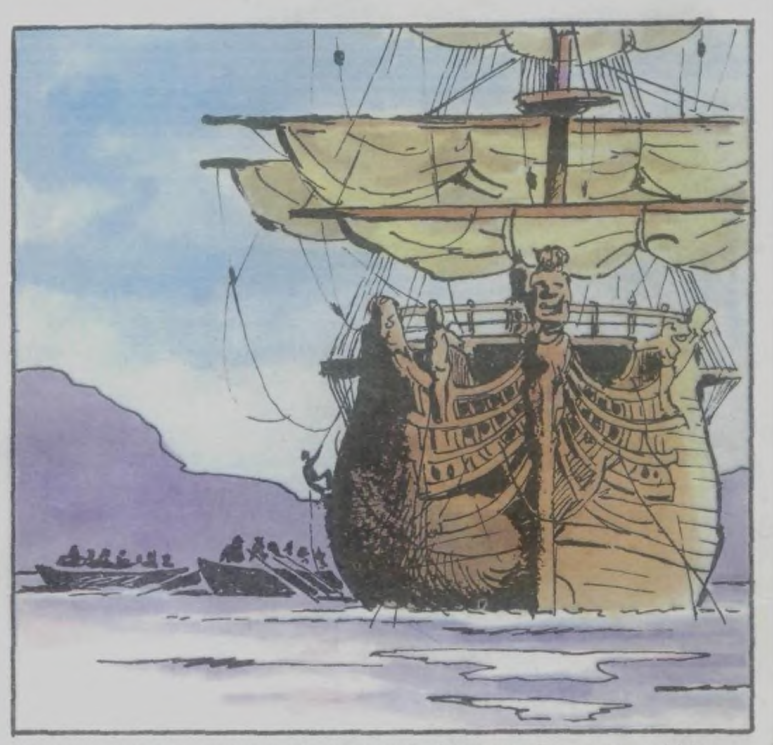

Marynarze chętnie przystali na propozycję kapitana. Trzynastu majtków, łącznie z Silverem, zaczęło schodzić do łodzi.

Wtedy przyszedł mi do głowy szalony pomysł: popłynąć na ląd. Na statku pozostało tylko sześciu majtków, a więc nasza grupa nie potrzebowała mojej pomocy. Ześlizgnąłem się na łódź, która właśnie odbijała od statku.

Silver zobaczył mnie z drugiej łodzi. Pożałowałem tego, co zrobiłem. Było już jednak za późno, aby to odmienić. Na szczęście nasza łódź wyprzedziła drugą i wkrótce dobiła do lądu.

Wyskoczyłem czym prędzej i przebywszy przybrzeżne moczary dotarłem do sporego gaju. Niebawem usłyszałem ludzkie głosy. Podkradłem się bliżej...

Zobaczyłem Silvera i jednego z marynarzy, Toma.

Tom odwrócił się i skierował ku wybrzeżu, ale nie uszedł daleko. Silver uchwycił się gałęzi i rzucił szczudłem w biednego marynarza...

... a gdy ten upadł, z małpią zręcznością doskoczył do niego i dwukrotnie pchnął go nożem.

Z przerażenia omdlałem. Gdy odzyskałem świadomość, zabójca — nie troszcząc się o swą ofiarę — zabierał się do odejścia. Wyjął z kieszeni świstawkę i gwizdnął na swoich ludzi. Co będzie jeśli mnie znajdą? Wyczołgałem się czym prędzej i rzuciłem do ucieczki.

Biegłem i biegłem...

... aż dotarłem do stóp niewielkiego wzgórza, gdzie rosły rzadsze wprawdzie, ale wysokie drzewa.

Wtem ze zbocza góry coś zsunęło się między konary. Ujrzałem jakąś postać wyskakującą zza pnia.

A oto, co mi opowiedział o swoich losach. Był na statku Flinta, gdy ten przybył do wyspy, aby zakopać tu swoje skarby. Zabrał ze sobą sześciu tęgich marynarzy — powrócił zaś sam jeden. Co się z nimi stało nikt się nigdy nie dowiedział.

Gdy przed trzema laty Ben Gunn przepływał w pobliżu wyspy na innym okręcie, skłonił marynarzy, aby wylądowali tu szukać skarbu. Po dwóch tygodniach bezowocnych poszukiwań pozostawili go i odpłynęli.

Dawny pirat Ben Gunn stał się porządnym człowiekiem i pragnął teraz powrócić do społeczeństwa. Gdy opowiedziałem mu o naszej sytuacji, okazał gotowość pomocy. Gdyśmy o tym rozmawiali, rozległy się wystrzały. Pobiegłem w kierunku przystani — a Ben Gunn obok mnie.

Znów zabrzmiały wystrzały i nagle, w odległości ćwierć mili, zobaczyłem powiewającą nad lasem banderę Wielkiej Brytanii.

Doktor Livesey opowiedział mi później co się stało podczas mojego pobytu na lądzie. Nie mogli odpłynąć, bo nie było wiatru. Niepokoili się także o mnie. Doktor więc i służący pana Trelavneya, Hunter, wybrali się łódką na brzeg, aby zbadać sytuację.

Doktor i Hunter pozostawili za cyplem, zacumowane na brzegu sąsiedniej zatoki, dwie szalupy strzeżone przez buntowników i skierowali się ku miejscu, gdzie na mapie Flinta zaznaczona była warownia.

Było to doskonałe miejsce do obrony zwłaszcza, że było tam źródło wody pitnej, której tak brakowało nam na statku. Gdy doktor oglądał warownię, usłyszał krzyk śmiertelnie ugodzonego człowieka. Był przekonany, że to ja zginąłem.

Po powrocie doktora na „Hispaniolę" postanowiono przewieźć zapasy i broń do warowni. Buntownicy, którzy bali się pistoletów kapitana, nie przeszkadzali w opuszczeniu statku. Ale później wycelowali w kierunku łodzi z armaty i choć pan Trelavney postrzelił jednego z buntowników

...podsternik wystrzelił w końcu z działa. Pod wpływem podmuchu przelatującej kuli łódź, choć już tuż przy brzegu, zatonęła. Utonęła więcej niż połowa naszej amunicji i żywności.

Zanim jeszcze cała grupa zdołała dotrzeć do warowni, pojawili się buntownicy. Podczas strzelaniny jeden z nich padł, ale i z naszej strony śmiertelnie trafiony został leśniczy pana Trelavneya, biedny Tom Redruth.

Flagę brytyjską, którą zobaczyliśmy z Ben Gunnem, wywiesił kapitan Smollet. Piratom z okrętu wskazała ona cel — zaczęli ostrzeliwać fort z armaty. Nie wyrządzili jednak żadnych szkód.

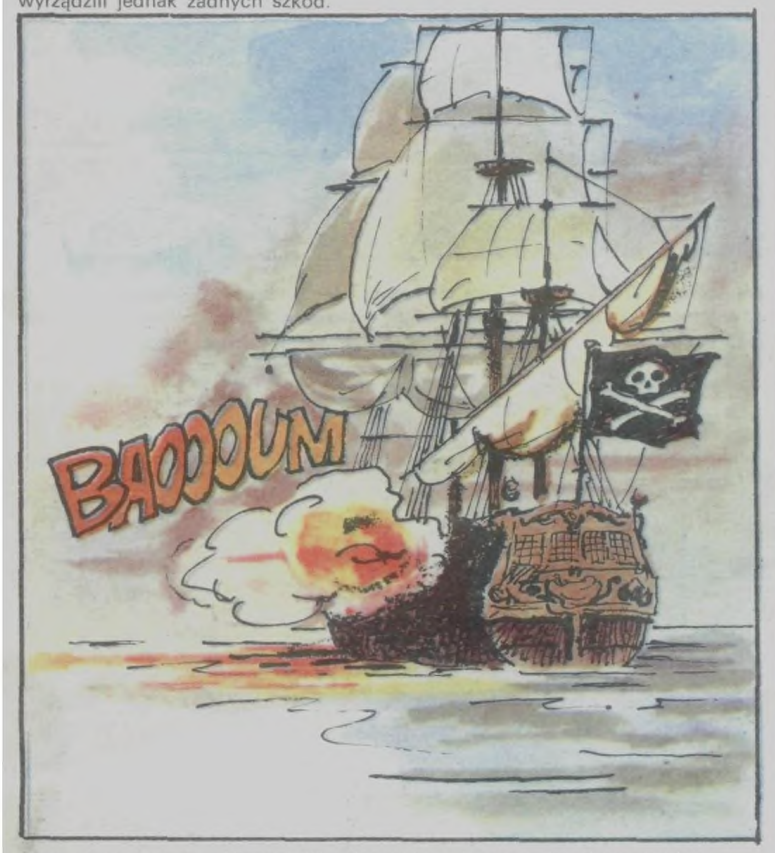

Na szczycie masztu „Hispanioli" załopotała zaś czarna bandera piratów — niechybny znak, że to oni opanowali statek, a moi przyjaciele znaleźli się w warowni. Postanowiłem więc przyłączyć się do nich.

Jednak Ben Gunn nie chciał mi towarzyszyć.

I tak oto sam przekradłem się do warowni, gdzie moi przyjaciele gorąco mnie przywitali. Nie spodziewali się bowiem, że jeszcze jestem przy życiu. Pokrótce opowiedziałem im o moich przejściach.

Następnego dnia zbudziły mnie okrzyki: Biała chorągiew! Silver parlamentariuszem! Zerwałem się na równe nogi i podbiegłem do strzelnicy.

Kapitan Smollet wystawił dla bezpieczeństwa warty i pozwolił Silverowi wejść do warowni.

Silver zachowywał się grzecznie i układnie. Pierwsze jego słowa były zaskakujące.

Kapitan nie dał poznać po sobie, że nie wie o co chodzi. Pomyślałem, że to mógł być Ben Gunn.

Uzbrojeni i rozstawieni przez kapitana nasi ludzie zajęli stanowiska wewnątrz warowni. Ja i kapitan mieliśmy ładować broń i podawać ją walczącym. Niektórzy z napastników ostrzeliwali warownię z różnych stron, inni — jak małpy — poczęli przełazić przez ogrodzenie. Nasz ogień powalił trzech z nich, ale czterech wdarło się i dobiegło do budynku. Strzelali przez otwory, próbowali wedrzeć się do środka. W końcu odparliśmy piratów, kładąc pięciu z nich. Z naszej strony polegli Hunter i Joyce, zaś kapitan został ranny. Pozostało nas czterech przeciwko dziewięciu, a właściwie — jak się później okazało — ośmiu.

WUIII!

PAW

Pod wieczór, po naradzie z kapitanem i dziedzicem, doktor Livesey wyszedł z warowni, aby spotkać się z Ben Gunnem. Pozazdrościłem mu, że wędruje w chłodnym cieniu kniei, gdy ja prażę się w rozpalonej warowni wśród krwi i trupów.

Nie mogłem oprzeć się pragnieniu wyskoczenia na małą wycieczkę. Ben Gunn wspominał mi o własnoręcznie wykonanej łódce, którą ukrył pod jakąś Białą Skałą. Postanowiłem odnaleźć to miejsce. Napełniłem kieszenie sucharami, wziąłem proch, kule i krócicę..

... i wymknąłem się nie pytając o pozwolenie, którego bym przecież nie dostał.

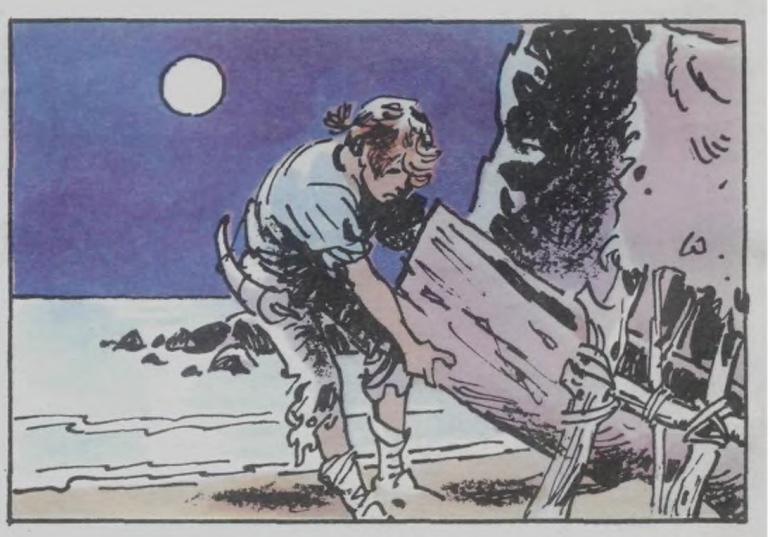

Zanim dotarłem do Białej Skały, zrobiło się już ciemno. W zagłębieniu pod urwiskiem, w małym namiocie z koźlej skóry, znalazłem bardzo małą i prymitywną łódź Ben Gunna.

Wpadła mi do głowy myśl, aby pod osłoną nocy podkraść się pod statek, przeciąć utrzymującą go linę i puścić na los szczęścia. Przeniosłem łódkę na wodę i wypłynąłem na zatokę.

Z trudem udało mi się dotrzeć do „Hispanioli". Zatrzymałem się przy cumie i mozolnie przecinałem jedno pasmo liny po drugim, aż pozostały jedynie dwa ostatnie strzępy. Przez cały ten czas dochodziły mnie pijackie głosy dwóch piratów — jeden z nich był głosem Handsa. Kłócili się sypiąc przekleństwami.

Gdy wiatr pchnął statek tak, że lina przestała być napięta, jednym ruchem przeciąłem ją do końca. „Hispaniolę" zaczął teraz znosić wiatr i prąd.

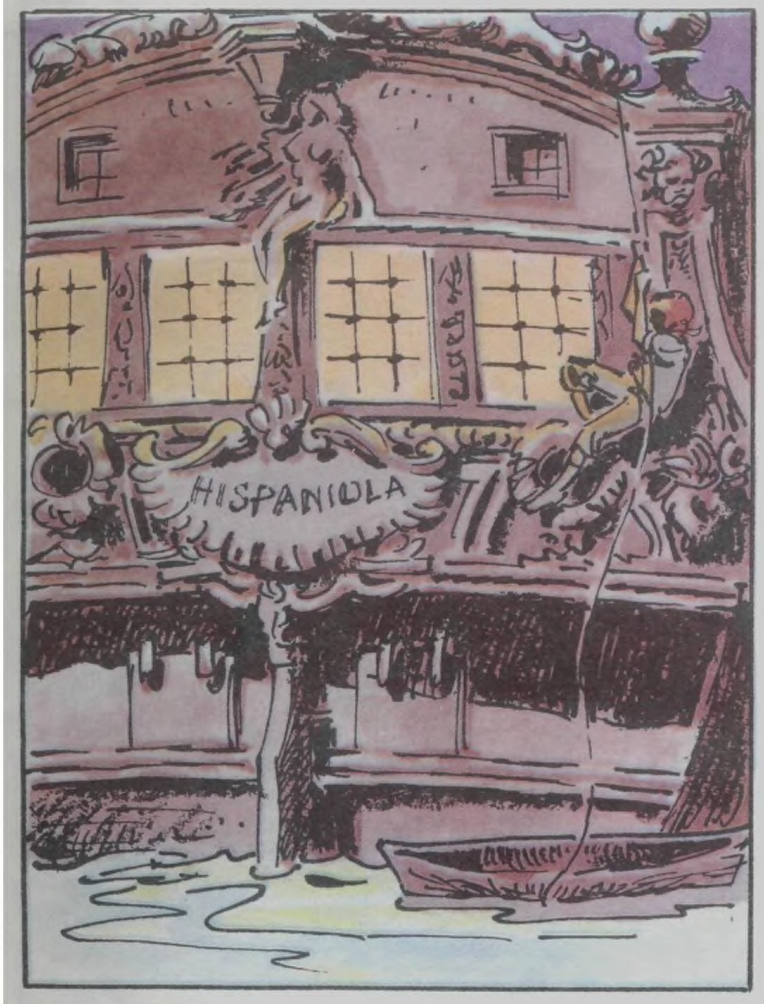

Nie było łatwo odbić od statku. Moja łódeczka przez cały czas znajdowała się koło lawirującej „Hispanioli". W pewnej chwili wyczułem dłońmi lekką linę zwisającą z rufy. Pod wpływem impulsu chwyciłem ją, wspiąłem się i zajrzałem przez okno kajuty.

Zrozumiałem wówczas, dlaczego piraci nie zwrócili uwagi na ruchy statku. Hands i jego towarzysz walczyli ze sobą na śmierć i życie. Zeskoczyłem do łódki i odbiłem od statku. Zmęczenie i ruch fal zrobiły swoje. Usnąłem.

Obudziłem się, gdy była już pełnia dnia. Znajdowałem się o jakieś ćwierć mili od lądu. Nadmorskie skały i wielkie fale groziły łódce rozbiciem. Mogłem jedynie położyć się i lekkimi pchnięciami kierować czółno w dogodniejszą stronę.

Gdy prąd zniósł mnie dalej, przed sobą — w odległości pół mili — ujrzałem „Hispaniolę". Jej żagle to wypełniały się wiatrem, to znów opadały. Wyglądało na to, że statkiem nikt nie kieruje. Czyżby piraci go opuścili? Gdyby tak, może udałoby mi się oddać go kapitanowi? Powziąłem szalony plan...

Uparcie wiosłowałem, aż zbliżyłem się do statku. Na pokładzie nie widać było żywej duszy. Wiatr i prąd zbliżyły jednak statek do łódki tak blisko, że lada chwila mogło nastąpić zderzenie.

Fala wyniosła łódkę wyżej, a ja chwyciłem za linę i zaczepiłem się nogami. W tej samej chwili usłyszałem trzask — to „Hispaniola" miażdżyła łódkę. Nie miałem odwrotu.

Wdrapałem się na pokład. Był pusty — jedynie pusta butelka z utrąconą szyjką toczyła się jak żywa tam i z powrotem.

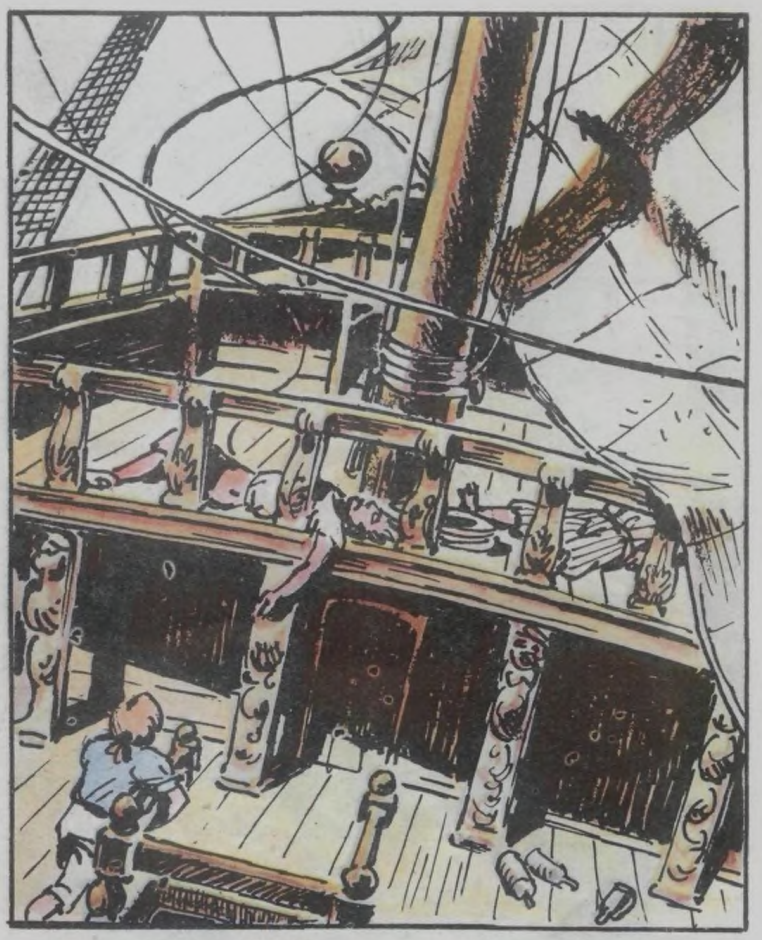

Nagły podmuch wiatru odsłonił przede mną część tylnego pokładu. Leżeli tam nieruchomo obaj piraci pilnujący statku. Plamy czarnej krwi na deskach wskazywały, że pozabijali się po pijanemu.

Jeden z nich jednak jeszcze żył. Był to podsternik.

Zszedłem do kajuty. Zastałem porozbijane szafki, okropny bałagan i tuziny pustych butelek walających się po podłodze. Znalazłem jednak trochę żywności dla siebie, a dla Handsa — butelkę z odrobiną gorzałki.

Kiedy popijał, a ja się posilałem, zaproponował mi umowę. Ja przyniosę mu pożywienie i coś do przewiązania rany, on zaś da mi wskazówki jak żeglować. Uznałem to za rozsądne i układ zawarliśmy na poczekaniu.

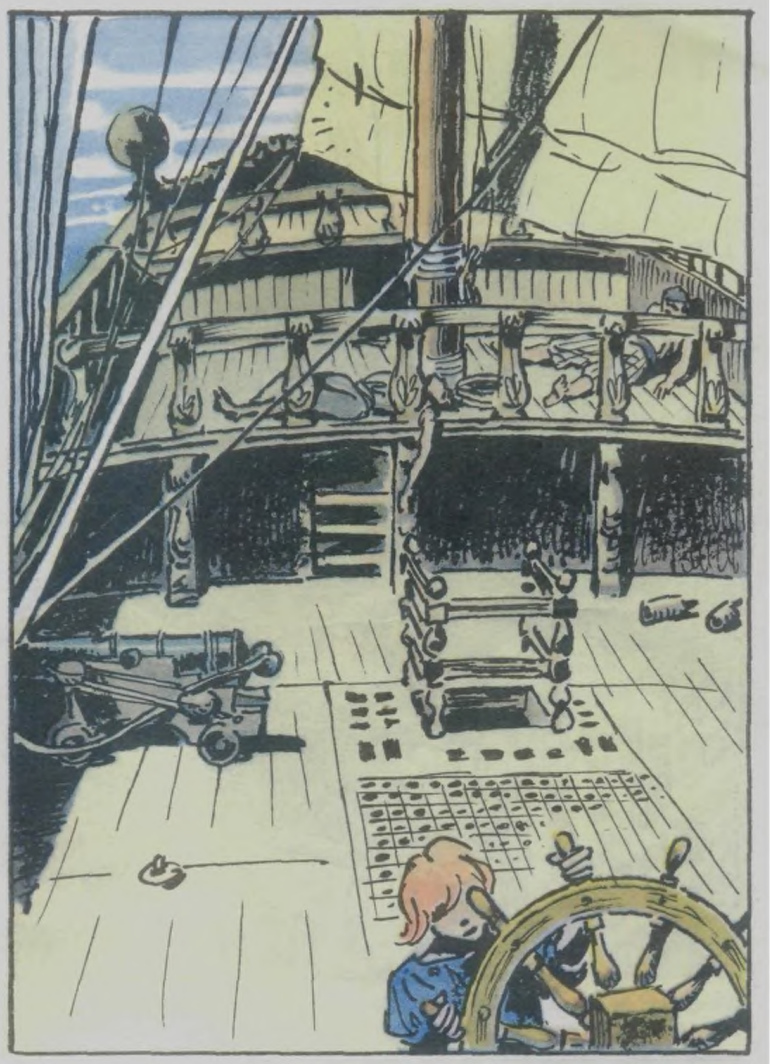

Wykonując polecenia Handsa doprowadziłem do tego, że okręt pożeglował wzdłuż wybrzeża aż do zatoki po drugiej stronie wyspy.

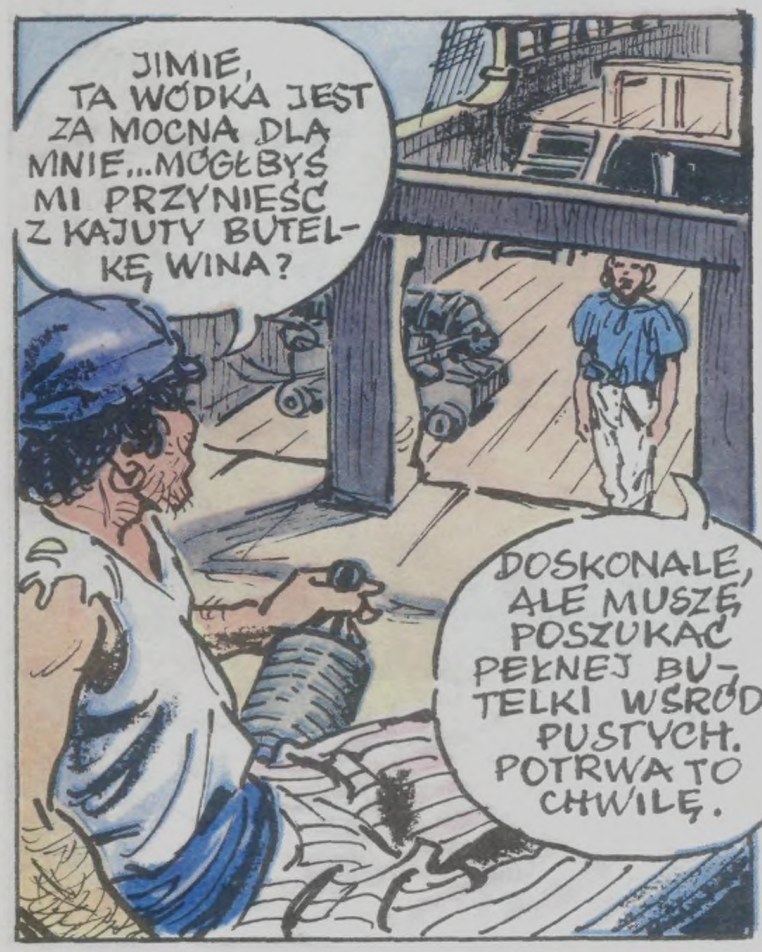

Jego słowa wydały mi się podejrzane, ale ukryłem to. Zszedłem do kajuty. Tu zdjąłem obuwie i przebiegłem przez korytarz pod pokładem. Wytknąłem głowę z kajuty przedniej, skąd nie mógł mnie zobaczyć. Moje podejrzenia były aż

nadto uzasadnione. Hands, mimo zranionej nogi, doczołgał się do zwoju lin i wyciągnął z nich długi nóż. Schował go w zanadrze i spiesznie wrócił na poprzednie miejsce.

Oddałem mu butelkę i ponownie stanąłem przy sterze. Niewątpliwie obaj chcieliśmy, by statek przybił bezpiecznie do brzegu i to w takim miejscu, z którego można by znów wypłynąć na pełne morze. Dopóki to nie nastąpiło, mogłem być spokojny o życie.

Wpłynęliśmy wreszcie do osłoniętej lasem zatoki. Manewry osłabiły nieco moją czujność, w pewnej chwili jednak wiedziony instynktem odwróciłem głowę. Hands, z nożem w prawej dłoni, znajdował się w pół drogi do mnie

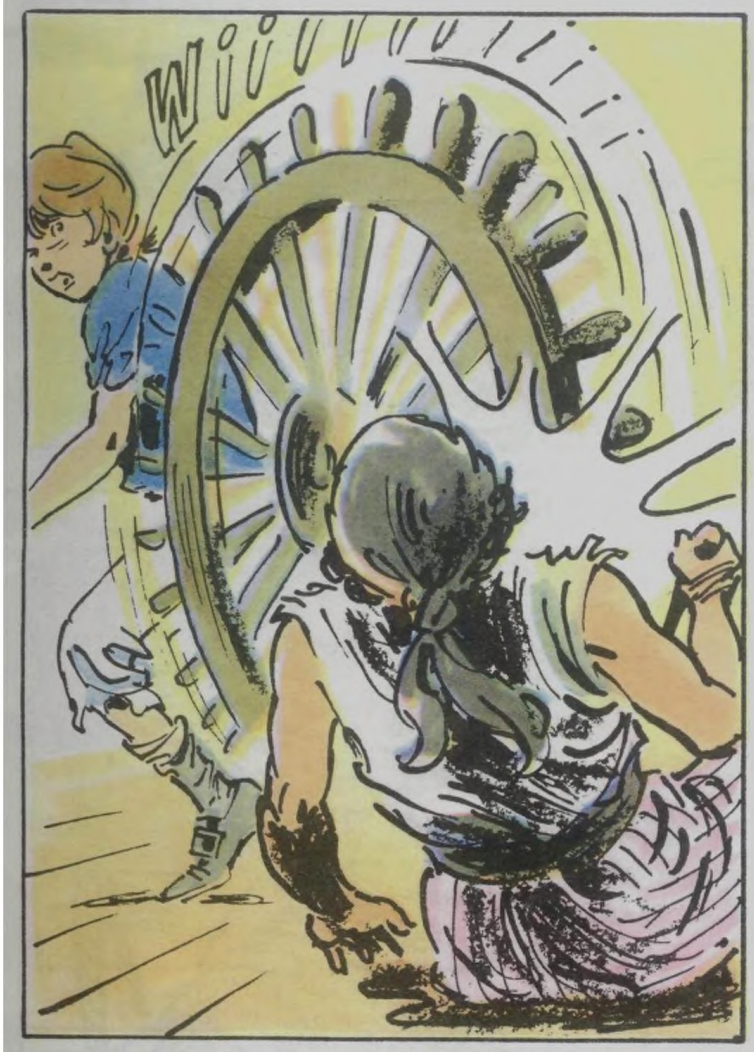

Rzucił się ku mnie, a ja uskoczyłem w bok, ku burcie. Trzonek steru uderzył go w pierś, oszałamiając na chwilę. Korzystając z tego wymknąłem się pod maszt główny.

Wyciągnąłem krócicę, wycelowałem i nacisnąłem na spust. Broń jednak nie wypaliła — proch był mokry.

W tej właśnie chwili „Hispaniola" natrafiła na mieliznę i przechyliła się nagle. Obaj zwaliliśmy się z nóg, ale ja poderwałem się pierwszy.

Błyskawicznie wspiąłem się po linach bezanmasztu na reję. Uratowała mnie szybkość, gdyż puginał uderzył tuż pode mną.

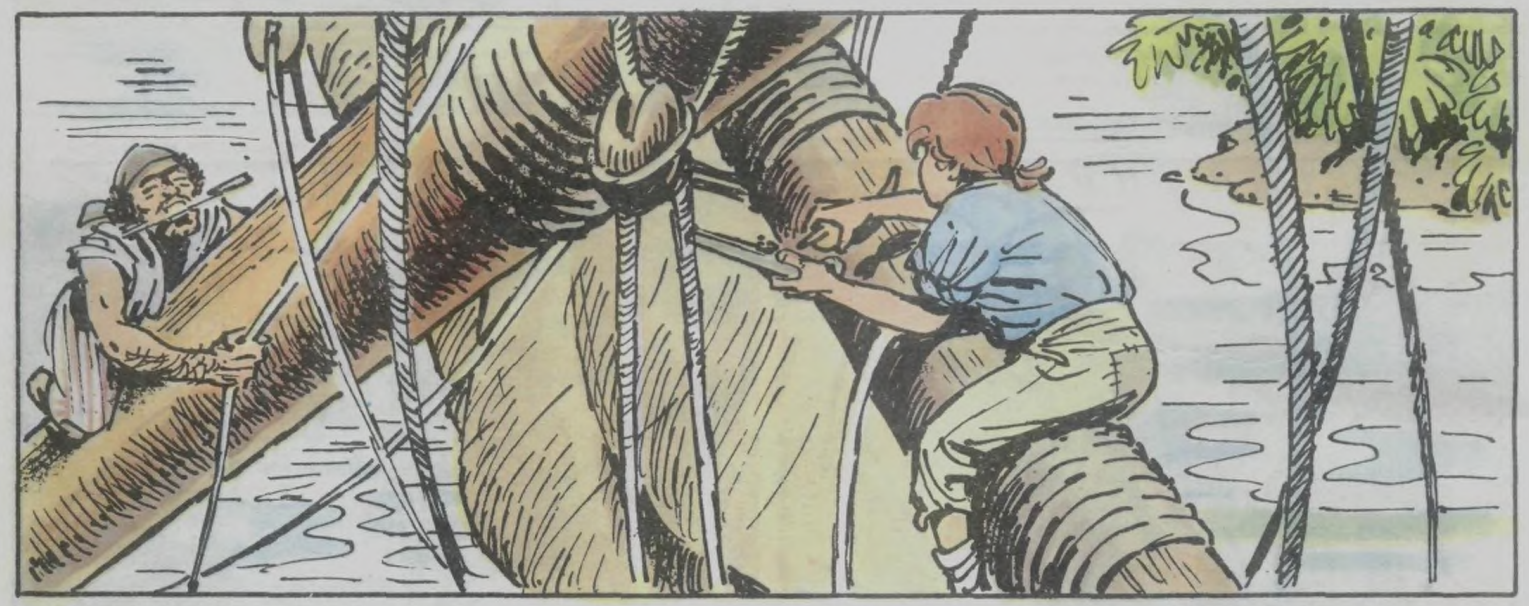

Gdy Hands powoli i z trudem wspinał się w ślad za mną, ciągnąc za sobą swą zranioną nogę, ja naładowałem na nowo pistolet. Widząc to zaczął mnie namawiać do powtórnego zawarcia z nim układu. Oczywiście, aby się odezwać, musiał wyjąć z ust puginał.

Znienacka podniósł rękę do góry, coś świsnęło w powietrzu i poczułem ostry ból w ramieniu. Nieświadomie wystrzeliłem, pistolet wypalił i wypadł mi z rąk. Jednocześnie podsternik, wydawszy okrzyk, wypuścił liny z rąk i runął do wody.

Na szczęście puginał rozciął tylko skórę. Zszedłem w dół i opatrzyłem ranę jak umiałem, a następnie brodząc po płytkiej wodzie dotarłem do brzegu. Pozostawiałem statek oczyszczony z piratów i sposobny do dalszej żeglugi.

Słońce zaszło, robiło się coraz ciemniej, gdy przedzierałem się przez las w kierunku warowni, aby dotrzeć do przyjaciół.

Wzeszedł księżyc. W jego blasku przelazłem przez palisadę i dotarłem do drzwi warowni. Słychać było chrapanie. Gdy kapitan jest ranny — myślałem sobie — zaniedbuje się wartę! Szczęście, że nie podkradł się tu Silver ze swoimi zbójami!

W ciemnościach izby nie widziałem nic, a słyszałem tylko chrapanie śpiących. Nagle rozległ się przeraźliwy wrzask papugi: Talary! Talary! Usłyszałem przekleństwo i głos Silvera. Zostałem pojmany.

Słowa Silvera raczej mnie pocieszyły, niż przygnębiły: świadczyły o tym, ze moi przyjaciele żyją.

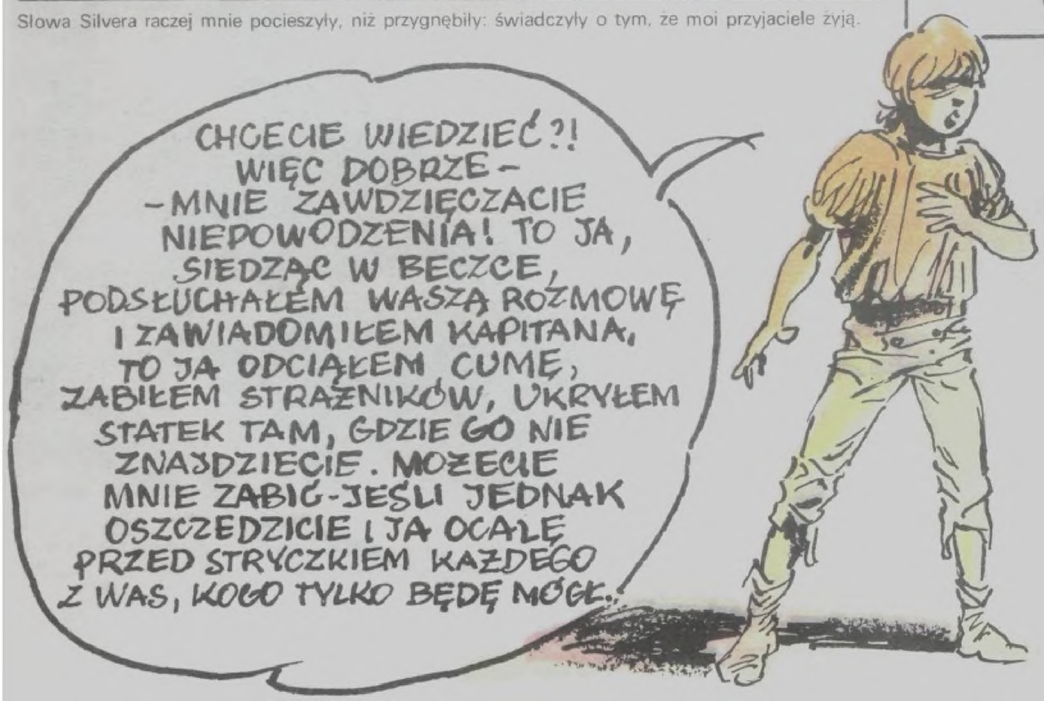

Gdy zostaliśmy sami, Silver rzekł: — byłeś o krok od śmierci i co gorsza od tortur. Chcą mnie obalić — ale ocalę cię. A ty musisz mnie ocalić od szubienicy.

Rzeczywiście — piraci powrócili z narady podjąwszy decyzję, aby Silverowi odebrać dowództwo. Długi John odrzucił jednak ich zarzuty.

Silver rzucił na ziemię tę samą mapę, którą znalazłem na dnie kufra, z zaznaczonym miejscem, gdzie ukryty był skarb.

Buntownicy rzucili się na mapę, jak koty na mysz, wydzierając ją sobie wzajemnie.

Obudziliśmy się na krzyk wartownika: Doktor idzie! Istotnie, był to doktor Livesey. Wszedł do warowni, jak gdyby to była zwykła domowa wizyta. Skinął mi surowo głową i zajął się chorymi.

Dopiero później wyraził życzenie, aby porozmawiać ze mną na osobności. Mimo sprzeciwu jednego z piratów Silver zgodził się na to — musiałem tylko dać mu słowo honoru, że nie ucieknę.

Silver odprowadził nas do palisady, a zanim usunął się na bok, zwrócił się do doktora.

Gdy znaleźliśmy się sami, doktor począł czynić mi wymówki.

Po śniadaniu wyruszyliśmy po skarb.

Mapa Flinta nie zawierała zbyt dokładnych wskazówek, przeto po przybyciu w okolicę na niej oznaczoną banda rozsypała się wachlarzowato na wszystkie strony.

Nagle, z lewej strony, ktoś zaczął krzyczeć w przerażeniu i wołać resztę kamratów. Wszyscy rzucili się w tym kierunku.

Okazało się, że leży tam szkielet ludzki — w nienaturalnej pozycji, całkowicie wyprostowany, z dłońmi wzniesionymi nad głową.

Poszliśmy dalej. Wspomnienie o Flincie sprawiło, że nawet piratom zrobiło się nieswojo. Myśl o bogactwie przytłumiła jednak ich niepokój.

Wkrótce znaleźliśmy się na miejscu. Piraci, ogarnięci żądzą złota, stanęli jak rażeni piorunem: ktoś odkrył i ograbił kryjówkę Flinta. Skarb przepadł!

Silver wyczuł, że nastroje piratów nagle się zmieniły. Wszyscy byli teraz przeciwko niemu. Stanął wraz ze mną tak, że dół odgradzał nas od pozostałych pięciu zbójów.

Wyraźnie zamierzali na nas napaść, gdy wtem huknęły z zarośli wystrzały. Dwóch piratów padło, pozostali trzej poczęli co sił uciekać.

Spoza krzewów wyszli ku nam doktor, Ben Gunn i wciąż wierny marynarz Gray. Teraz dopiero dowiedziałem się co zaszło. Gdy w przeddzień mojego powrotu doktor dowiedział się od Ben Gunna, że ten znalazł i ukrył w swojej jaskini skarby, oddał Silverowi nieużyteczną już mapę i zapasy, w które i tak jaskinia Gunna była sowicie zaopatrzona.

Dowiedziawszy się o moich przygodach na morzu, doktor pozostawił rannego kapitana Smolleta pod opieką dziedzica, sam zaś z Ben Gunnem i Grayem ruszył na miejsce, w którym Flint ukrył swój skarb. O wszystkim tym doktor opowiedział mi, gdyśmy szli do jaskini.

Gdyśmy już tam dotarli, zobaczyłem kapitana Smolleta, a w kącie wielkie kupy pieniędzy i stos sztab złota: skarb Flinta. Tego wieczora przy wspaniałej biesiadzie miałem wokół siebie moich oddanych przyjaciół. Silver, jak na początku podróży, był uprzejmy i układny, trzymał się jednak nieco z dala od nas.

Cóż mam jeszcze powiedzieć? Wiele dni zabrało nam przeniesienie skarbu na statek. Trzej buntownicy trzymali się od nas z daleka, ale śledzili nas. Gdyśmy odpływali, ujrzeliśmy ich klęczących ze wzniesionymi błagalnie rękoma. Doktor jeszcze krzyknął, że w jaskini znajdą zapasy żywności i wkrótce zniknęli nam z oczu.

Po drodze zawinęliśmy jeszcze do najbliższego portu, aby zamustrować kilku nowych marynarzy. Silver skorzystał z postoju i czmychnął — zabierając z sobą worek z pieniędzmi. Nigdy już o nim nie słyszałem.

Po powrocie do Bristolu każdy z nas otrzymał swoją część skarbów. Było tego sporo, ale nawet za dwakroć tyle nikt i nigdy nie zaciągnąłby mnie powtórnie na tę przeklętą wyspę! Pojawia mi się ona w najgorszych snach, a w uszach dźwięczy przeraźliwy głos papugi: Talary! Talary!

Komiks ten został opracowany na podstawie książki, która powstała przed ponad stu laty (dokładnie – w latach 1883–1884) i nosi ten sam co i ona tytuł – „WYSPA SKARBÓW". Powieść o tym tytule napisał człowiek, którego całe życie upłynęło na podróżach odbywanych w celu ratowania nieustannie zagrożonego zdrowia. Był nim ROBERT LOUIS STEVENSON.

„Wyspa skarbów" to pierwsza jego powieść – debiut, który od razu przyniósł mu sławę. Napisał ją w wieku lat trzydziestu – urodził się w r. 1850 w Edynburgu. Powstała nad Morzem Śródziemnym, gdzie przebywał na kuracji – od młodych lat nękała go bowiem gruźlica płuc. Ta właśnie choroba sprawiła zapewne, że choć podjął – zgodnie z życzeniem ojca, inżyniera – studia techniczne, porzucił je dla prawa i uzyskał w końcu dyplom adwokata. Wyjechał wówczas w podróż najpierw po Europie, a potem do Kalifornii. Gdy wrócił, choroba jednak znów dała znać o sobie i zmusiła go do przeniesienia się z pochmurnej Szkocji na słoneczne wybrzeże śródziemnomorskie. Tam właśnie powstała „Wyspa skarbów".

Z innych, poźniejszych jego utworów wielkim powodzeniem cieszyła się i cieszy nadal opowieść z gatunku, jak to dziś mówimy, „science-fiction" pod tytułem „Doktor Jekyll i mister Hyde". Uznanie zyskały też powieści przygodowe, których akcja toczy się na tle dziejów Szkocji: „Porwany za młodu", „Dziedzic na Ballantrae", „Czarna strzała" i „Katriona".

W r. 1887 Stevenson udał się do Ameryki, a następnie wyruszył w podróż po wyspach Oceanu Spokojnego. Ostatnie cztery lata życia – zmarł w r. 1894 – spędził na wyspie Upolu (archipelag Samoa), pisząc powieści i nowele.

Liczne prace Stevensona są nadal wznawiane i chętnie czytane. Należy do nich zwłaszcza „Wyspa skarbów". Jej awanturnicza fabuła obfitująca w zaskakujące zdarzenia, dzieje się w XVIII wieku w Anglii i na jednej z wysp karaibskich. Niezwykłe i pełne niebezpieczeństw przygody bohaterów książki, romantyczne i pociągające, zderzają się tu z opisami szarej i często ponurej rzeczywistości.

Wszystkich czytelników, którym spodoba się komiks opracowany na podstawie „Wyspy skarbów" zachęcamy by sięgnęli po książkę Stevensona. Z pewnością nie będziecie żałować!